

Krwawy młyn pod Verdun

pociągnął Niemcy w swoje fatalne tryby

Przedstawiliśmy wczoraj te dramatyczne chwile, gdy najsilniejsza twierdza świata bliska już była upadku i byłaby ewakuowana, gdyby nie rozkazy Joffre'a, które nagle przekreśliły zarządzenia, już wydane przez generałów, dowodzących na miejscu. Cóż wpłynęło na tę zasadniczą zmianę decyzji?

DYLEMAT JOFFRE'A

Logika strategii, przez półtora roku będąca stałą dewizą francuskiego wodza naczelnego, mówiła, że niema takiego miejsca, które musiałoby być bronione „za wszelką cenę” i że nawet Paryż może być oddany, bo punkt ciężkości spoczywa w żywej sile armji, a losy wojny zależą nie od przejściowych bitew, ale od rozgrywki końcowej. Ta więc logika nakazywała oddać Niemcom tych parę kilometrów terenu, skoro ich obrona kosztowałaby zbyt wiele, a wycofawszy się za Mozę, przeciwstawił dalszemu naciskowi tem skuteczniejszy odpór. Nietylko Herr i de Langle rozumowali w ten sposób, ale i większość oficerów sztabowych w kwaterze głównej.

Ale Joffre — tensam Joffre, który nigdy zimnej krwi nie tracił i był jak opoka — zdecydował inaczej, wbrew swoim własnym dotychczasowym przykazaniom. Zrozumiał bowiem, że niema tak niezawodnej teorii, którejby w pewnych warunkach nie przekreślało życie. Verdun można było oddać nawet bez walki, jeśliby tego wymagały plany strategiczne, ale opuścić tę najsilniejszą z fortec pod wpływem ledwie czterech dni szturmów, to oznaczałoby kapitulację. Nietylko opinia świata, ale przedewszystkiem sama Francja rozumiałaby to, jako przyznanie Niemcom wyższości i publiczne stwierdzenie, że cokolwiek sobie postanowi — choćby rzecz, uważana za niemożliwą — wszystko im się musi udać. Czyż jednak wówczas można by marzyć o podtrzymaniu ducha do kontynuowania wojny?

Echo idące spod Verdun, było przecież tak wstrząsające, że zaalarmowany powszechnym niepokojem, przybył do Chantilly sam premier Clemenceau, a słysząc wieczorem przy obiedzie septyczne głosy oficerów, rypnął generalissimusi w oczy z właściwą sobie brutalnością:

— Generale! Jeśli pan opuści Verdun, każdy Francuz w twarz panu plunie...

— Może pan być spokojny, przydencie — odpowiedział Joffre posępnie, — ani przez chwilę mi taka myśl do głowy nie przychodziła.

NAJWYŻSZY CZAS

W następnych godzinach wydane zostały zarządzenia, które radykalnie zmieniły sytuację.

Był zaś rzeczywicie czas najwyższy. Wzięcie fortu Douaumont, już niemal dobiegło do tej decyzji Joffre'a, stanowiło wprawdzie kres sukcesów niemieckich, ale niewiele brakowało, aby sytuacja była jeszcze gorsza. Na lewo bowiem od fortu, nad brzegiem Mozy, stała o 6 kilometrów bardziej na północ wysunięta dywizja francuska, której komendant, na wieść o upadku Douaumont'u, widząc, że ma odsłonięty tył, wycofał się w bezpośrednie sąsiedztwo miasta, choć przedtem cały dzień skutecznie odpierał Niemców, z bolesnemi dla nich stratami. I przez dwie godziny, od 8-mej do 10-tej wieczorem, na paru kilometrach frontu verduńskiego, o którego każdy metr tak zawzięcie toczyły się zapasy, mogli byli Niemcy posunąć się blisko o milę naprzód, nie napotykając ani na jednego Francuza!

FRANCUZI BRONIĄ SIĘ

Odtąd obraz się zmienił. Dalsze ataki Niemców nie odnoszą skutku, sąsiadujący z douaumontem fort Vaux, o 3 kilometry na południowy wschód, opiera się wszelkim szturmom, a nawet opanowanie wsi Douaumont, choć leżące przed fortem, a więc otoczonej z trzech stron, wymaga pięciu dni krwawych zapasów, a zmuszonych zajmować pozycje niejednokrotnie w szczerem polu, pogarsza się ustawicznie. Francuzi ściągają artylerię, podwożą bez przestanku rezerwy.

Czynią to wśród niezmiernych trudności, gdyż Verdun jest kompletnie odcięty od komunikacji kolejną i jedyną łącznik z tyłem stanowi szeroka na 7 metrów szosa do Bar le Duc, której prawą połowę suną bezustanku jeden za drugim samochody ciężarowe w stronę twierdzy, naladowane amunicją i materiałem wojennym, a po lewej wracają ewakuując rannych.

PYRRUSOWY TRIUMF

Falkenhayn triumfował: jego

plan spełnił się co do joty, Francja coraz więcej krwi traci na obronę twierdzy. Jedna dywizja po drugiej śpieszy do tego piekła, jedna po drugiej z niego powraca — zdziesiątkowana. Od 1-go czerwca Petain oddaje komendę 2-giej armji i bezpośrednią obronę Verdunu generałowi Nivello, a sam obejmuje „grupę środką”, złożoną z czterech armji i liczącą 52 dywizje, które na zmianę bronią Verdun: tym sposobem Joffre chciał uzyskać swobodę rąk w użyciu reszty swych sił do planowanej na 1 lipca wielkiej ofensywy nad Sommą. Ale mimo to w pierwszej połowie czerwca musi oddać Petainowi jeszcze cztery dywizje, bez których pomocy Verdunowi grozi znowu upadek.

Falkenhayn triumfował... Ale bardzo obosieczny był to triumf. Bo i Niemców kosztował Verdun coraz więcej, z nich także „krwawy młyn nad Mozą” toczył bezustanku krew. I one także musiały się coraz bardziej angażować, bo każde osłabienie nacisku byłoby zarazem — początkiem klęski. Pod Verdunem toczyła się olbrzymia próba sił, a jej wynik miał zarazem służyć za wskazówkę, której stronie przypadnie ostateczne zwycięstwo.

Przeliczył się Falkenhayn w nadziei, że Joffre będzie próbował dywersji na innych frontach i wpadnie w przygotowane przez Niemców potrzaski, bo wódz francuski z niewzruszonym spokojem przygotowywał od zimy planowaną na lato ofensywę nad Sommą i nie pozwolił swych planów pokrzyżować. Przeliczył się także w rachubach na wyższość niemieckiej artylerji, bo francuska była coraz potężniejsza. Francuzi zaczęli górować nad Niemcami w powietrzu, karta się odwróciła, i ogień francuski zdobywał coraz większą przewagę. Trzeba więc było coraz większe siły angażować, aby wyżyć z polowicznej sytuacji i skoro do zdobycia fortecy przebyło już połowę, a częściowo nawet dwie trzecie drogi — dokończyć dzieła.

Ale to było coraz trudniejsze. W dniu 2 czerwca udaje się wprawdzie Niemcom wtargnąć częściowo do atakowanego już od trzech miesięcy fortu Vaux, którego komendant, odcięty od wody musi po 5-ciu dniach kapitulować. Joffre musi, wbrew wszelkim intencjom, wspomóc Petaina jeszcze czterema dywizjami (o których wspomniano wyżej). Ale i Falkenhaynowi

trzeba świeżych rezerw dla kontynuowania ataku — a skąd je wziąć?

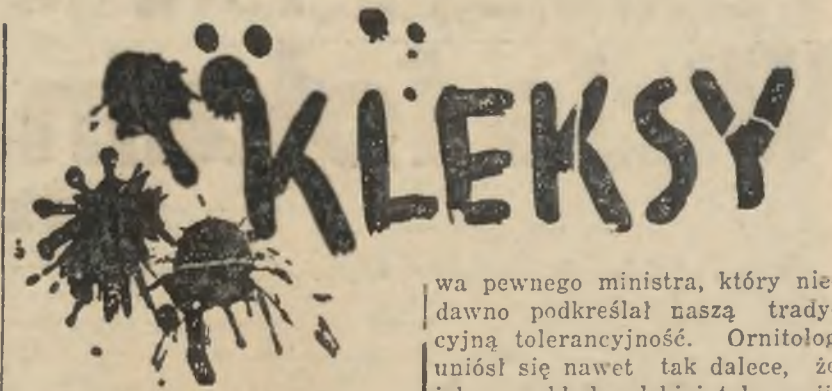
Rachuby na bezwzględną wojnę podwodną, co stanowiło integralną część jego planu i na co miał od listopada zgodę cesarza Wilhelma, upadły od 1 maja, gdy zwyciężyło przeciwnie stanowisko kanclerza Bethmanna - Hollwega. Ze zaś 15 maja Austriacy rozpoczęli na własną rękę ofensywę na froncie włoskim, osłabiając front galicyjski, skutkiem czego rozpoczęta 4 czerwca ofensywa Brusilowa przełamana front austriacki i dla ratowania sytuacji sojuszników musieli Niemcy posyłać na wschód dywizje zabierane z frontu francuskiego — tedy dla walk verduńskich już nie stało rezerw.

Jeszcze 23 czerwca sukces ostatni: zajęcie Eleury posuwa Niemców jeszcze o 2 kilometry poza Douaumont i Vaux. Ale na drugi dzień rozpoczyna się nad Sommą huraganowy ogień francusko - angielski, a po tygodniu atak Joffre'a. Niemcy muszą angażować wszystkie siły i to z niepełnym tylko skutkiem. Gwiazda ich blednie, w sierpniu wypowiada wojnę Rumunja. Falkenhayn ustępuje, jego następca nakazuje wstrzymać ataki na Verdun i przejść do defenzywy. Teraz Francuzi atakują i w październiku Nivello odbija fort Vaux, a w grudniu fort Douaumont. Niemcy są spowrotem tam, gdzie stali przed rokiem — tylko że w tę ziemię wsiąkło morze krwi.

Do jednego jednak krew ta posłużyła — choć nie takie były falkenhaynowskie zamiary: Niemcy ponieśli pod Verdunem klęskę i Francja już wiedziała, że przecież ostatecznie... „on les aura”, da się im rady. Dlatego Verdun pozostał w takiej pamięci i w takiej chwale. Tam się zaczęła kruszyć potęga niemiecka.

Teraz, komentując plany i wypadki wielkiej wojny, Niemcy zapytują nieraz: Czy nie lepiej było starać się o to, co było — zwłaszcza na początku — zupełnie możliwe do osiągnięcia, t. j. o zdobycie Verdunu, a czego właśnie Falkenhayn... nie chciał? Ale można by także postawić inne pytanie, bodaj że bardziej aktualne, zwłaszcza w obecnej chwili, przy obecnych nastrojach:

— Czy klęska niemiecka pod Verdunem nie wykazała jednak, że nawet najlepszy rachunek zawodzi, jeśli nie bierzemy w rachubę moralnej siły ducha, jaką potrafi wydobyc z siebie przeciwnik?



Przedwiośnie

Przyjemnie jest pisać pod takim tytułem; słowo — przedwiośnie — trochę rzeźkim i ciepłym poamchem, pachnie fiołkami i rozbrzmiewa dźwięnieniem skowronka. Tylko patrzeć jak przylecą jaśkółki, odezwa się żaby, zaklekoczą bociany.

Tak, ale to wszystko na wsi. W stolicy zbliżenie się wiosny dostrzegamy w innych, specyficznych przejawach. Pierwszy znak — to ukazanie się lydek pokójówek myjących szyby. Łydki zwiastują wiosnę nieomylnie i gdy po szarych zimowych dniach, mieszczuch zobaczy je w oknach, wzdycha z lubością, niby wieśniak witający pierwsze bociany.

A propos bocianów: uważam, że stanowisko polityczne tych ptaków nie jest wyraźne. Bocian, jak wiemy, spędza pół roku w Polsce, a drugie pół — zwyczajem elity — na południu (w Egipcie). Polacy w swojej dobroduszości uważają bociana za swego obywatela, a jego częste przebywanie w angielskich kolonjach tłumaczą sobie tem, że ptak ten nie lubi mrozów. Egipcjanie natomiast twierdzą, że bocian jest rodowitym Egipcjaninem, a do Polski udaje się wtedy, gdy mu jest za gorąco.

Zaniepokojeni tą kwestją (wobec ruchów nacjonalistycznych w Europie) zwróciłem się do pewnego ornitologa.

— Jak się właściwie przedstawia sprawa z tym ptakiem? — spytałem — bo to fruwają sobie raz tu, raz tam; u nas wyjada żaby po łąkach, w Nilu zapewne krokodyle... co pan sądzi o nim, profesorze?

Ornitolog zastanowił się chwilę.

— Bocian igrze się w Polsce, sądzę zatem, że ptak ten należy do nas — oświadczył.

— A co w takim razie myśli pan o żydach, których zwyczaj są bardzo zbliżone do bocianich? — zagadnąłem zniechęca.

Zaskoczony ornitolog zaczął perswadować i przemawiając w obronę bocianów, przytoczył sło

wa pewnego ministra, który niedawno podkreślał naszą tradycyjną tolerancję. Ornitolog uniósł się nawet tak dalece, że jako przykład polskiej tolerancji, przytoczył fakt stuletniej niewoli.

Wreszcie machnął ręką i rzekł:

— A zresztą ma pan rację, bociany rzeczywiście mają coś semickiego, te dziwnie zaczerwienione nosy, to przebywanie w kolonjach angielskich...

Stanoło na tem, że obaj z ornitologiem wyraziliśmy zgodne ubolewanie, że żydzi nie posiadają bocianich skrzydeł, któreby ich zaniosły do ciepłych krajów.

Innym nieomylnym objawem zbliżającej się wiosny są rzewne tanga na warszawskich podwórzach. Ukrywający się w ciągu zimy mandolińscy, wylazą na słonce niby polne świerszcze i umilają nam czas swoim granieniem.

Zespoły orkiestrowe zwiększają się z każdym rokiem, co świadczy nietyle o wroście naszej kultury muzycznej, ile o tem, że coraz więcej ludzi bierze się do grania po podwórkach.

Mussolini powiedział do Włochów:

— Nie będziecie już więcej mandolinistami!

Obecnie Polacy mają widocznie zamiar zastąpić Włochów w tej dziedzinie.

Przedwiośnie w stolicy objawia się jeszcze ulicznym zaduchem z kurzu i benzyny.

Stojąc na zbiegu ulic, wdychałem z lubością ten wiosenny zapach i aby zwiększyć jego intensywność palilem „plaskiego”. Po chwili podszedł do mnie jakiś wąsaty pan i poprosił o ogień. Dałem. Podziękował i odszedł, a po upływie minuty zbliżył się inny pan, ładnie ogolony i również poprosił o ogień. Dałem mu ognia i odprawiłem z Bogiem, ale już po chwili klął mi się uprzejmie jakiś brodac z tą samą prośbą. Dałem. Udzieliłem wszystkim po kolei ognia z mego „plaskiego”. W ciągu dziesięciu minut oddzieliłem około 10-ciu ludzi ogniem z papierosa. Ponieśli ten ogień dalej, dając go innym łaknącym i nie mającym na kupno zapalek, tamci jeszcze innym i tak dalej. Poszli niosąc ten osobliwy „znich oszczędności”, naprzeciw zbliżającej się wiosnie. Jur.

HUMOR

ZNAKOMITY KREM

— Czy ten krem usuwa naprawdę wszystkie zmarszczki?

— O tak, proszę pani. Nawet pogniecioną blachę po posmarowaniu tym kremem, robi się gładką.

WYGODNY NOCLEG

Pani domu: — Cóż, dobrze się panu spało? Obawiałam się, że łóżko będzie trochę za twarde.

Gość: — Nie szkodziło mi to wcale, bo od czasu do czasu wstawałem, żeby dać kościom trochę wypoczynku.

U DENTYSTY

Dentysta przygotował swego niecierpliwego pacjenta do bolesnej operacji, zwiąawszy mu nawet ręce i nogi. A biorąc szczyptę, pyta:

— Czy pamiętasz jeszcze, że w szkole zawsze dawałeś mi tegie lanie?

Popieraj przemysł krajowy

Francois Mauriac

14)

CZARNE ANIOŁY

Z upoważnienia autora przełożyła Helena Hellerówna

Powieść

I.

Gradère położył pióro, przeczytał to, co napisał i wstał. Miał na sobie niebieski, jedwabny szlafrok, podarty i poplamiony. Jego ogorzała twarz wydawała się młoda, pomimo, że był siwy. Zapewne jasne jego oczy nie zmieniły się od dzieciństwa. Ponury dzień przenikał przez brudne szyby. Było to owo właściwe Paryżowi światło, na którego zamarcie czeka się niecierpliwie, by zasunąć delikatne, żelazne żaluzje. Urządzenie mieszkania pochodziło z 1925 r. Życie nie mogło zmienić tych pomalowanych ścian, tych mebli z niku i szkła; wszystko miało pozostać nowe, aż do ostatniego przemieszczenia. A jednak panował nieład, cechujący nie życie, ale ruinę. Na dywanie stała taca z resztkami zimnej kolacji. Wszędzie walały się cgarłki z papierosów. Widać było, że niesprzątano tu od kilku dni.

Gabriel Gradère położył się na kanapę, która zastępowała mu również łóżko.

— POCO to piszesz? — myślał. — W czym ten młody ksiądz może ci pomóc? A zresztą, zabraniam ci się z nim widzieć. Zabraniam ci się z nim zapoznawać. Zabraniam ci powierzać mu nasze tajemnice! O piętro wy-

żej jakieś dziecko zaczęło grać gamę. Gradère doznał ulgi, gdyż nienawidził ciszy. Cisza oddechala. Atmosfera była ciężka, duszna i przytłaczająca. Nie, nie pozostanie tu dłużej ani chwili... Zdjął szybko szlafrok i ubrał się. Co za rozkosz, móc zamknąć za sobą drzwi i przekreślić klucz w zamku, tak, jakby się pozostawiało w mieszkaniu przy ulicy Emila Zoli swego wroga, a zarazem wroga całego życia!

Była to pora zaświecenia wszystkich latarni ulicznych. Szedł, właściwym mu, szybkim, młodzieńczym, niemal uskrzydłonym krokiem. Kupił gazetę. Doznawał wrażenia, że ktoś gubi jego ślad. Kto mógł wycisnąć piętno na jego twarzy? Przeszedł przez Sekwanę i doszedł wzdłuż szyn tramwajowych do Auteuil. Na tarasie kawiarni, w lecie tak przepelnionej, nie było nikogo... Ale on nie odczuwał zima. Zamówił aperitif.

— Nie można nigdy zgóry wiedzieć, czy się dozna błogiego uczucia — myślał. — Niekiedy alkohol daje zapomnienie, ale czasem wzmagá smutek i rozpacz.

Ale w tym wypadku trunk podzielał zbawiennie. Gradère był pewny, że może spokojnie wrócić do domu, położyć się i zamknąć oczy. Ułożył sobie, że nie zje obiadu, wyjdzie późno, usiadzie przy stoliku tej pani, która co wieczór przychodziła do „Florence” i zamówi zakąskę, którą ona zapłaci, razem z szampanem. Mimo wszystko, przeszedł go dreszcz, gdyż wieczór był wilgotny.

Leśny powiew, przesycony wonią liści i wilgotnej ziemi, szedł przez dzielnicę. Wrócił spieszenie.

— Cóż to? Zapomniałem zgasić światło — pomyślał.

— Alino! — zawołał. — Skąd się tu wzięłaś? Zabroniłem ci przychodzić...

Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-iej stronie — 1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty i wyjaśnienia — 1.50 zł. opisy specjalne — 3 zł., lekar-skie — 30 gr. Nekrologia — 2 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a duży druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznacza się cyfrą (N.), a komunikaty i wyjaśnienia cyfrą (K.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada. Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.